№ 3 20 STYCZNIA 1929

CENA 50 GROSZY

PRZEŁOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK IV

ANTYWOJENNY PAKT P. LITWINOWA

„Nie widzimy celu w zawieraniu umowy antywojennej między Polską i Rosją, bo tem samem postawilibyśmy państwa bałtyckie oraz Rumunję w obliczu zwiększonego niebezpieczeństwa ze strony Rosji — a więc pracowalibyśmy pośrednio na rzecz wojny".

Propozycja rządu sowieckiego, skierowana do Polski i Litwy, w sprawie podpisania specjalnego protokółu, mającego na celu przyśpieszenie momentu wejścia w życie między temi państwami Paktu Paryskiego z dnia 27 sierpnia 1928 r., będzie niewątpliwie jedną z największych atrakcyj politycznych najbliższych kilku miesięcy.

Troska Sowietów o pokój w Europie nie jest wprawdzie zjawiskiem nowem. Od dwóch lat p. Litwinow w charakterze delegata rządu Związkowego do komisji rozbrojeniowej przy Lidze Narodów nawołuje cały świat do natychmiastowego rozbrojenia, w czem — nie zawadzi dodać—sekunduje mu z zapałem hr. Bernsdorff, delegat Rzeszy Niemieckiej do tejże komisji. Do występów pacyfistycznych p. Litwinowa przywykli już wszyscy i przeto mało na ogół przejmują się widocznem zdenerwowaniem delegata rządu moskiewskiego z bezpłodności dotychczasowych obrad komisji rozbrojeniowej.

Kiedy dyplomacja sowiecka wywodzi, że od pewnego czasu niemal we wszystkich państwach wzrasta tak zwany „budżet wojskowy", to niewątpliwie ma całkowitą rację, godzi się tylko argumenty moskiewskich mężów stanu uzupełnić stwierdzeniem, że Rosja Sowiecka nie stanowi pod tym względem żadnego wyjątku i że jej wydatki na cele wojskowe wzrastają w tempie szybszem, niż w całym szeregu innych państw. Kiedy p. Litwinow wykrzykuje, że rozbrojenie stanowi jedyną gwarancję utrzymania pokoju światowego, to niewątpliwie każdy spostrzeże, że tezie jego łatwo jest przeciwstawić kontrtezę, a mianowicie, iż należy najpierw dać gwarancje bezpieczeństwa państw i ich granic, co z kolei rzeczy ułatwi rozwiązanie problemu rozbrojenia, o czem właśnie p. Litwinow zapomina, pragnąc podejść do rozwiązywania tego problemu niejako w sposób mechaniczny i nie od jego początku, ale właśnie od końca.

W dalszym ciągu nie wolno zapominać o tem, że owa gorączka do rozbrojenia, ów pęd do pacyfikacji znalazły swój wyraz u dyplomatów sowieckich dopiero w tym momencie, kiedy okazało się, że większość owych rzekomych „sukcesów" na terenie życia gospodarczego jest zwykłym bluffem, preparowanym przez długi okres czasu najpierw dla zagranicy, potem dla własnych obywateli, dla których jednak najistotniejszą wymowę ma wygląd chleba wydawanego na kartki i długie ogonki przed sklepami rządowemi, w których niema właśnie tych przedmiotów, jakie nabywca potrzebuje, a jakie jednak znajdują się w sklepach prywatnych, oczywiście po cenach niedostępnych dla zwyczajnego śmiertelnika. Tempo i napięcie pacyfistycznej polityki rządu sowieckiego stoi w przyczynowym związku z rozprzęganiem się życia gospodarczego, przyczem im większe niedomagania przejawiają się na tym odcinku życia państwowego, tem głośniej dyplomaci nawołują do rozbrojenia.

A wreszcie — *last not least* — czyż nie jest zastanawiające, że owe pacyfistyczne dążenia dyplomacji sowieckiej tak dziwnie właśnie zbiegają się z rewolucyjnemi dążeniami III Międzynarodówki. Z Moskwy idzie w szeroki świat jedną drogą gorący zew ku pokojowi, a jednocześnie z tejże samej Moskwy innemi drogami płynie propaganda rewolucyjna, zmierzająca do obalenia polityczno-społecznego ustroju reszty świata i przekształcenia go na obraz i podobieństwo Moskwy, przy jej moralnej i materjalnej pomocy. Tylko naiwni mogą mieć wątpliwości, który z tych głosów jest bardziej szczery i który z nich zaważy na szali w momencie istotnie decydującym.

W tych wszystkich zjawiskach szukać należy wyjaśnienia faktu, iż rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad, (mimo wypowiedzenia przez usta p. Cziczerina bardzo ostrej

krytyki pod adresem paktu Kelloga, który jakoby pod przykrywką wyrzeczenia się wojny jako narzędzia państwowej polityki dążył do stworzenia jednolitego bloku państw przeciwko Sowietom), — pierwszy ratyfikował Pakt Paryski, choć nie zaliczał się do liczby pierwotnych jego sygnatarjuszy. Temi samemi przyczynami tłumaczy się uwidoczniona w nocie p. Litwinowa z dnia 29 grudnia ubiegłego roku troska, iż pakt Kelloga dotychczas jeszcze nie wszedł w życie oraz propozycja pod adresem rządu polskiego i litewskiego, aby przyśpieszyć realizację tego paktu chociaż na pewnym odcinku Europy.

Nie chcemy na tem miejscu bawić się w dociekania, jakie są kulisy propozycji p. Litwinowa. Jest w tej chwili naprawdę mniejszem zagadnieniem, czy komisarz ludowy do spraw zagranicznych, pisząc notę do Polski, myślał raczej o przyszłym mieszkańcu Białego Domu i możliwościach kredytowych w Ameryce, czy też narzucał się na arbitra w sporze polsko-litewskim, czy wreszcie dążył do rozbicia sojuszu polsko-rumuńskiego. Zdaniem naszem kulisy te istnieją i kryją się za niemi nietylko wyżej wyliczone sprawy. Przypuśćmy jednak, że propozycja p. Litwinowa była „jasna i prosta", że nie kryje się za nią żadna gra dyplomatyczna, żadne uboczne względy, że miała na celu tylko i wyłącznie dzieło pacyfikacji. Przypuśćmy więc tę rzecz istotnie nieprawdopodobną, bowiem Rosji Sowieckiej ze strony Polski nie zagraża wojenne niebezpieczeństwo i rozpatrzmy merytorycznie *sine ira* treść noty sowieckiej z punktu widzenia polskiej racji stanu.

A więc dyplomata sowiecki, proponując Polsce przyśpieszenie wejścia w życie paktu Kelloga — przeciwko czemu Polska nie może mieć żadnych zastrzeżeń nietylko dlatego, iż pakt ten podpisała w liczbie pierwszych 14 sygnatarjuszy, lecz również dlatego, iż Polska jest duchowym ojcem paktu Kelloga, bowiem polski wniosek potępiający wojnę został zgłoszony i przyjęty na Zgromadzeniu Ligi Narodów niemal o rok wcześniej od Paktu Paryskiego— jednocześnie przechodzi milcząco nad zagadnieniem, czy pod nazwą paktu Kelloga ma się na myśli sam tekst paktu, to jest trzy jego artykuły, czy też i noty, które do tego paktu są dołączone, a które wyrażają zastrzeżenia o nienaruszalności obowiązków wypływających z paktu Ligi Narodów lub też umów istniejących między poszczególnemi państwami. Mało tego, o ile bowiem pierwsza część propozycji może być nęcąca, o tyle wprost odstraszające są jej konsekwencje, dotyczące rozciągłości umowy, a mianowicie: propozycja sowiecka sprowadza się (przynajmniej narazie, a według wszelkich danych również i w przyszłości) do paktu regjonalnego, gdy tymczasem Pakt Paryski ma charakter paktu multilateralnego i według wszelkiego prawdopodobieństwa stanie się nowym czynnikiem politycznym o charakterze powszechnym. To zwężenie charakteru umowy, zupełnie zrozumiałe i naturalne, bowiem nie sposób byłoby logicznie usprawiedliwić, by p. Litwinow proponował w grudniu ubiegłego roku identycznie to samo, co zostało już podpisane w sierpniu—modyfikuje oczywiście ogromnie jej znaczenie. Pakt Kelloga, mimo, iż nie przewiduje on sankcyj karnych, przez swą powszechność ma olbrzymie znaczenie dla Polski np. w wypadku napaści Niemiec, czy Rosji na nią, zmusza on bowiem Amerykę do wyjścia ze stanu neutralności. Cóż nam wzamian za to daje pakt proponowany przez p. Litwinowa? Oczywiście nic, skoro i tak z góry wiemy, że ze strony Rosji wskutek jej słabości nie grozi nam w ciągu najbliższych paru lat żadne niebezpieczeństwo militarne.

To zwężenie paktu Kelloga z jednoczesnem zastrzeżeniem, że ma ono dokonać się przed momentem ratyfikacji jego przez pierwotnych sygnatarjuszy, czyli wbrew brzmieniu artykułu 3-ego paktu, zmusza rząd polski do uzgodnienia swego stanowiska z nimi. Jest to nietylko akt politycznej kurtuazji wobec tych, z którymi Polska podpisywała pakt z dnia 27 sierpnia ubiegłego roku, jest to obowiązek dyktowany jasnemi i bardzo wyraźnemi interesami państwa, dziś może jeszcze nie dla wszystkich zrozumiałemi, ale które mogą się uwidocznić w całej pełni dopiero w momencie zawieruchy wojennej, której Polska wcale nie pragnie, ale która przecież wbrew jej woli może wybuchnąć.

A drugie zastrzeżenie wobec propozycji p. Litwinowa wynika już z konjunktury ściśle europejskiej. Sowiecki komisarz do spraw zagranicznych mówi o dążeniu Rosji do pacyfikacji stosunków „z jej najbliższymi sąsiadami". Nie mamy czego zaprzeczać, że leży to również w interesie Polski. Ale przecież do tych najbliższych sąsiadów zalicza się nietylko Polska, z którą Rosja sąsiaduje, i nietylko Litwa, z którą Rosja nie ma bezpośrednich granic, lecz również Finlandja, Estonja, Łotwa i Rumunja, o których p. Litwinow w pierwszej swej nocie całkiem nie wspomina lub wspomina półgębkiem. Jeśli proponowany przez sowieckiego dyplomatę protokół ma mieć istotnie jakąś wartość i jeśli ma wnosić nowe momenty do istniejących w Europie Wschodniej stosunków, to oczywiście musi być czemś więcej, niż prostem stwierdzeniem faktu, że Polska i Rosja „wyrzekają się wojny jako narzędzia polityki państwowej".

Takie stanowisko reprezentowała polska myśl polityczna od lat kilku, ale niestety, natrafiała stale na sprzeciw ze strony sowieckiej. Przecież jest wiadomo wszystkim, iż pakty o nieagresji między Rosją Sowiecką i jej najbliższymi sąsiadami rozbiły się właśnie na tym punkcie, który dla nas ma wartość pierwszorzędną. I dlatego w obecnej sytuacji musimy powtórzyć identycznie to samo, cośmy od lat kilku stale powtarzali: a więc nie widzimy żadnego celu w zawieraniu umowy o charakterze antywojennym tylko między Rosją i Polską, bo tem samem stawialibyśmy państwa bałtyckie oraz Rumunję w obliczu zwiększonego niebezpieczeństwa ze strony Rosji, a więc pracowalibyśmy pośrednio na rzecz wojny. Jedyna możliwość dla nas, to podpisanie paktu wspólnego, który istotnie przez swą wielostronność pacyfikowałby stosunki w Europie Wschodniej. I dlatego zanim zasiądziemy do stołu obrad z Rosją, musimy przedtem wyzyskać wszelkie możliwości, aby wspólnie z nami zasiedli również i ci, których sytuacja jest analogiczna z naszą.

Oto dwa warunki, od wyjaśnienia których uzależnia Polska przystąpienie swoje do propozycji p. Litwinowa. Są one tak „proste i jasne", iż motywacja ich jest właściwie rzeczą niemal zbędną. Są one zarazem tak doniosłe, iż usprawiedliwiają pewną zwłokę, jaka nastąpić może w gorączkowem dążeniu p. Litwinowa do podpisania umowy potępiającej wojnę, która nie grozi Rosji ze strony polskiej i która przeto nie wymaga żadnych przyśpieszonych „strzałów" przy pomocy not dyplomatycznych, składanych polskim dyplomatom o godzinie 12 w nocy.

m. p.

ETATYZM W POLSCE

Punktem wyjścia kalkulacji państwowej jest z reguły interes spożywcy oraz interes przedsiębiorstwa, a nie interes przedsiębiorcy.

W ostatnich czasach niezmiernie głośnem stało się słowo: *etatyzm*. Publicystyka, zwłaszcza zaś t. zw. gospodarcza, wprost tętni tem słowem, odmienianem na wszystkie przypadki, bronionem lub atakowanem bardzo zawzięcie. Sprawa to zresztą nie nowa: rola państwa w życiu gospodarczem oddawna stanowi fascynujący temat rozważań naukowych i walk praktycznych i oddawna też w Polsce ścierają się pod tym względem opinje.

Stara szkoła liberalna negowała w ogólności udział państwa w życiu gospodarczem w formie bezpośredniej. Według liberałów, wywodzących swój rodowód ideowy od Ad. Smitha, państwo nie potrafi i nie powinno gospodarować samo. Lepiej zrobią to kapitaliści prywatni, którzy ulegają prawom konkurencji i zawsze (jakoby!...) gospodarują sprężyściej, ekonomiczniej, pomysłowiej. Ale dziś już takich *„czystych liberałów"* niema: tendencja kartelizacyjna w przemyśle i handlu wyrugowała konkurencję, powiązania gospodarcze stworzyły nową strategję handlu, rozrosły się kwestje socjalne, a nadewszystko spotężniała i ustabilizowała się *rola państwa współczesnego*, jako właściciela i kierownika olbrzymiej aparatury gospodarczej. Tendencja ewolucji w tym kierunku jest stała i tak silna, że istotnie nie doceniać jej absolutnie nie można. Jeśli się zaś nadomiar uwzględni jeszcze gospodarczą działalność samorządów, to wówczas obraz staje się jeszcze wyrazistszym

W administracji publicznej prowadzone są więc np. w Polsce: monopole, koleje, poczty, fabryki amunicji i uzbrojenia, banki, lasy państwowe, fabryki azotu, kopalnie soli, węgla, nafty, drukarnie, piekarnie, tramwaje, elektrownie, gazownie, uzdrowiska i t. p. Nie dałoby się wogóle przeliczyć niesłychanie licznej listy objektów gospodarczych, prowadzonych przez państwo lub przez samorząd. A jakie to są nieraz kolosy, wystarczy wskazać, że np. koleje i poczty zatrudniają łącznie około *ćwierć miljona* pracowników, że lasy państwowe *(2,9 miljona ha!)* stanowią *trzecią część* ogólnego zalesienia Polski, że *całą* produkcję azotową skupia w rękach swoich państwo i t. d.

Taka jest *wymowa faktów*. Te właśnie fakty niepokoją naszych „liberałów", którzy krzyczą o rozroście dążeń etatystycznych, o likwidowaniu inicjatywy prywatnej, o wyniszczaniu źródeł dochodu społecznego i t. d. Podobno nawet tworzą jakowąś *„Narodową Ligę do walki z etatyzmem"*. A w każdym razie w parlamencie nie szczędzą ostrej krytyki pod adresem rządu za tę jego gospodarczą działalność.

Cóż jednak? Fakty mają to do siebie, że są... faktami. Musiały widać działać poważne i realne przyczyny, skoro do tego doszło, że państwo skupiło w swoich rękach tak wielką aparaturę gospodarczą. Cóż np. spowodowało, że państwo tworzy dziś i eksploatuje flotę handlową? Spowodowała to ta prosta okoliczność, że kapitał prywatny wolał w spekulacyjnych celach wyłapywać parcele nadmorskie na wille i pałace a do pionierskiej roboty na morzu się nie kwapił. Skądże do tego doszło, że np. państwo buduje Nowy Chorzów? Stąd, że rolnictwo, choć zasobne w grosz, choć posiadające własne banki, choć zainteresowane w nawozach sztucznych, nie zdobyło się w przeciągu dziesięciu lat na zgromadzenie funduszów i na zbudowanie fabryki. Czemu przypisać, że magistrat stołeczny zbudował elewatory zbożowe oraz własną olbrzymią piekarnię? Właśnie temu, że życie wykazało, iż sprawy tak doniosłej, jak wyżywienie ludności wielkiego miasta, wręcz niepodobna pozostawiać na pastwę hurtowników zboża i mąki oraz piekarzy prywatnych. Poza własnością tradycyjną (jak np. koleje, lasy, saliny), państwowy udział w życiu gospodarczem wzrasta tą prostą drogą, że *inicjatywa państwowa jest częstokroć właśnie czujniejsza, żywsza, śmielsza, niż inicjatywa prywatna*, że *lepiej przedewszystkiem wyczuwa potrzeby życia, że skuteczniej działa.*

„Wolnohandlowcy" śpieszą wówczas z zarzutem, że państwo gospodaruje *mniej rentownie*, niż kapitalista prywatny. Zarzut ten brzmi do pewnego stopnia, jak... *pochwała*. Rentowność kapitalistyczna? Wszakże to w zasadzie samej polowanie z naganką reklamy, zmowy trustowej, prohibicji celnej i t. p. na łup dochodu społecznego. Zbyt dobrze wiemy, jakiemi drogami osiąga się rentowność lwiej części przedsiębiorstw kapitalistycznych, abyśmy mieli zbytnio żałować, że istotnie przedsiębiorstwa państwowe nie dochodzą zwykle miary rentowności kapitalistycznych. Punktem wyjścia kalkulacji państwowej jest z reguły *interes spożywcy* oraz *interes przedsiębiorstwa*, a nie *interes przedsiębiorcy*. To *rozróżnianie charakteru ideologicznego warto stale mieć na uwadze, bo ono stanowi klucz do oceny działania państwa jako gospodarza*. Państwo gospodaruje albo dla *ochrony majątku narodowego* (np. lasy), albo dla *potrzeb obrony państwa*, jako najwyższego interesu społecznego (amunicja), albo dla *wyzwolenia pewnych działów obrotu gospodarczego z pod anarchicznych wpływów łupiestwa kapitalistycznego* (koleje, aprowizacja), albo wreszcie dla spełnienia trudnych zadań *pionierstwa gospodarczego* (sole potasowe, azot, żegluga, węgiel w Galicji i t.p .). Jak widzimy więc, z reguły niema tu czynnika zyskowności, lecz raczej czynnik *służby społecznej*.

Ale zresztą (gdyby jeszcze chwilę pozostać przy tym zarzucie rzekomej nieracjonalności metod gospodarczych państwa), trzeba stwierdzić, że państwo bardzo energicznie stara się osiągnąć *wyższy stopień sprawności* czysto gospodarczej. Dotykamy tu kwestji t. zw. *komercjalizacji przedsiębiorstw państwowych*, będącej w Polsce w pełnym biegu. Przedsiębiorstwa te są stopniowo obdarzane odrębną osobowością prawną, uzyskują szeroką autonomję pracy wytwórczej i handlowej, dostają pierwszorzędnie fachowe kierownictwa, amortyzują z własnych zysków nakłady i t. d. Ale one przy tem wszystkiem pozostają w sferze myślenia państwowego, pozostają niejako w służbie społecznej, nie przeradzają się w aparaty pogoni za łupem zysku. Starają się logicznie, uczciwie, zdrowo pracować, jednak nie w znaczeniu kapitalistycznem, ale państwowem.

Kapitaliści powinni zrozumieć należycie tę rolę gospodarstwa państwowego w całokształcie ekonomicznego systematu Polski. Wykupić tych rzeczy już się przecie nie da. Przeciwnie, ewolucja zapowiada się właśnie nadal w tym kierunku. Niedawno państwo zmonopolizowało *lotnictwo*. Nie jest wyłączone, że będzie musiała przyjść *sanacja przemysłu naftowego*, w którym chęć na dywidendy jest, ale do wierceń nikt nie jest zbytnio ochotny. Kto wie, czy arcydoniosły problem *elektryfikacji* kraju da się jeszcze tak długo

uzależniać od ospałej i gnuśnej, umiejącej tylko narzekać „inicjatywy prywatnej?

Dość jazgotliwie ujada się dziś na t. zw. etatyzm. W jednej dziedzinie tylko, jak to słusznie zauważył jeden z wodzów dzisiejszej Polski gospodarczej, Dyr. *St. Starzyński*, wszyscy pragną... etatyzmu: aby mianowicie państwo dawało przemysłowcom, kupcom i rolnikom *dużo pieniędzy!* Ale o ten „etatyzm" dziecięcego smoczka będzie najtrudniej. Pocieszmy się tem, że działalność gospodarcza państwa raźno wypełnia rzeczywiste luki naszego życia ekonomicznego, że usprawnia swój aparat regulowania potrzeb społecznych, że racjonalizuje się i pogłębia, że śmiało kroczy po drodze lojalnej acz trudnej służby społecznej. *Bogactwo państwa jest przecież bogactwem narodu.*

A jeśli nawet u kresu tej ewolucji, o czem dziś zresztą trudno jeszcze mówić — ujrzymy chwilami kontur *państwa jako właściciela i kierownika gospodarstwa społecznego*, to czyż naszem zadaniem jest martwić się z tego powodu?...

T. Oszyński.

PROBLEM LEWEGO BRZEGU RENU

I.

Pokój światowy oraz bezpieczeństwo systemu terytorjalnego i politycznego, stworzonego przez zwycięstwo ententy, a określonego przez różne traktaty pokojowe, ma w chwili obecnej jedyną realną gwarancję, a jest nią okupacja terytorjów niemieckich na lewym brzegu Renu przez wojska francuskie, angielskie i belgijskie. Traktat wersalski nie przewidział żadnego innego zabezpieczenia egzekucji swych postanowień. Jeżeli przejrzymy przepisy części XIV tego traktatu, mówiące o gwarancjach jego wykonania, przekonamy się, iż wszystkie jej artykuły z wyjątkiem artykułu 433, traktującego o Europie wschodniej i mającego charakter czysto przejściowy, dotyczą okupacji lewego brzegu Renu. Zawarte w tych artykułach gwarancje nie zostały od czasu podpisania pokoju wersalskiego zastąpione przez żadne inne równowartościowe rękojmie bezpieczeństwa w Europie. W szczególności pakty locarneńskie z r. 1925 nie mogą być uznane za realną gwarancję pokoju, jak to będziemy starali się następnie wykazać.

Ażeby ocenić należycie znaczenie okupacji lewego brzegu Renu, trzeba uwzględnić genezę części traktatu wersalskiego, odnoszącej się do gwarancyj. Dotyczące przepisy były przedmiotem nadzwyczaj ostrego konfliktu w łonie samej koalicji. Przedstawiciel Francji na konferencji paryskiej, premjer p. Clemenceau i marszałek Foch, widzieli jedynie należyte zabezpieczenie Francji i Belgji przed nowym atakiem niemieckim w ustanowieniu Renu granicą zachodnią Rzeszy. Obszary niemieckie na lewym brzegu Renu miałyby być, według żądań francuskich, ukonstytuowane jako osobne państwo pod protektoratem Ligi Narodów i obsadzone trwale przez wojsko ententy.

Te postulaty Francji natrafiły na nieprzezwyciężony opór ze strony prezydenta Wilsona oraz ówczesnego premjera brytyjskiego, p. Lloyd George'a.

Ci ostatni, powołując się na prawo samostanowienia narodów, nie chcieli nic wiedzieć o pozbawieniu Rzeszy obszarów, których ludność jest niemiecką i chce należeć do

EDWARD MALISZEWSKI

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE)

Odszedł od nas człowiek cichy, skromny, a jednak dużego charakteru, benedyktyńskiej wytrwałości w pracy, wielkich ukochań, którego wartość w całej pełni ocenią dopiero ci, co ze skarbnicy naukowej spuścizny po nim w przyszłości korzystać będą.

Nie danem mu było po długiej, uciążliwej, pełnej trudów i zaparcia wędrówce wstąpienie do Ziemi Obiecanej, którą dla twórcy i pracownika jest oglądanie rezultatów swej pracy, jako rzeczy skończonej. Odszedł nagle w pełni sił, gdy kłosy z posiewu jego pracy i trudu wyrosłe stały już dojrzałe i dostałe. Inni je zbierać w śpichlerze będą.

Ś. p. Edward Maliszewski urodził się w Warszawie w r. 1875. Wcześnie pracować zaczął na niwie literackiej. Natura trochę marzycielska pchnęła go z początku w kierunku beletrystycznym. Liczne nowele drukuje w „Ateneum", „Głosie", „Prawdzie", „Nowej Reformie", „Gazecie Polskiej". Jednocześnie oddaje się publicystyce i przez czas jakiś wchodzi w skład redakcji „Gazety Polskiej" za Jana Gadomskiego. Jednak usposobienie i zamiłowanie ciągną go w innym kierunku. Człowiek cichy i łagodny nie ma natury bojowej. Pociągają go studja naukowe.

Kocha Polskę w jej wszystkich przejawach taką, jaką jest w jej życiu szarem i powszedniem. Badaniom jej poświęca swe życie. Nie goniący za tanim efektem i blichtrem, posiadając naturę niezwykle głęboką, umie dostrzec w przejawach nieefektownej powszedniości wartości wewnętrzne rzeczy i ich sens istotny.

Kocha się w etnografji polskiej, jej krajobrazie. Nikt nie zna tak jak on jej geografji. Gdy się tych rzeczy dotknie, ożywają suche cyfry, kolorów nabierają i pulsują życiem nieznane nikomu nazwy miejscowości, wsi i miasteczek. Jest jakby żywą kroniką tych cichych i zapomnianych zakątków, z których jednak całość Ojczyzny się składa.

Ukochał polskość i kulturę polską i śledzi jej przejawy na całym obszarze Ziem dawnej Rzeczypospolitej, nie ograniczając swych obywatelskich i naukowych zainteresowań jedynie do Ziem Polski małej — Polski etnograficznej. Nie mógł pogodzić się z myślą, by to, co było przejawem wartości duchowych i moralnych narodu, zaniknąć mogło gdziekolwiek.

To też szuka tych przejawów ze szczególnem zamiłowaniem tam, gdzie bezmyślność lub niewiara ogółu zdawała się o nich zapomnieć lub zwątpić. Szczególnem umiłowaniem On, urodzony w sercu Polski, otacza dalekie krańce wschodnie Ziem Rzeczypospolitej, ziemie litewskie i białoruskie. Biegnie tu śladami dawnych ognisk kultury polskiej, szuka tu wyrazu jej żywotności obecnej, śledzi jej

Niemiec. Jeżeli opozycja prezydenta Wilsona wypływała naprawdę z pobudek idealnych — kwestja lewego brzegu Renu interesów Ameryki nie dotyczyła wcale — inaczej rzecz się ma z motywami p. Lloyd George'a. Anglja w rzeczywistości miała możliwie mało respektu dla zasady samostanowienia narodów, gdy jej interesy kolidowały z nią. Ażeby się o tem przekonać, wystarczy przejrzeć artykuły traktatu wersalskiego, mówiące o terytorjach mandatowych lub o Egipcie, który przez tenże traktat został oddany pod protektorat brytyjski. Jeżeli p. Lloyd George okazał sumienie nadzwyczaj czułe, gdy chodziło o samostanowienie Niemców reńskich, to powodował się wyłącznie interesem Anglji, który wymagał, by Niemcy nie zostały zbyt osłabione, a Francja nadmiernie wzmocniona. Widmo Europy napoleońskiej nie dawało spać brytyjskiemu premjerowi i dlatego był gotów raczej dopuścić do zerwania ententy, niż zgodzić się na utworzenie państewka reńskiego, które z natury rzeczy pozostawałoby pod przemożnym wpływem Francji.

Wbrew radom marszałka Focha, p. Clemenceau uważał utrzymanie ententy za wyższe dobro polityczne, niż odrzucenie Niemiec za Ren i dlatego zgodził się na przedłożone mu przez Anglję i Stany Zjednoczone rozwiązanie kompromisowe. Na podstawie tego kompromisu Rzesza zachowała suwerenność nad ziemiami na lewym brzegu Renu, ale musiała zgodzić się na okupację piętnastoletnią tych obszarów. Wzamian za wyrzeczenie się ze strony francuskiej oderwania lewego brzegu Renu od Rzeszy, Anglja i Ameryka ofiarowały Francji sojusz, zapewniający jej pomoc zbrojną tych państw w razie ataku niemieckiego.

Dalszy rozwój wypadków miał pokazać, iż marszałek Foch miał najzupełniejszą rację. Kompromis, zawarty pomiędzy p. Clemenceau a prezydentem Wilsonem i p. Lloyd George'm, nie został dotrzymany przez partnerów Francji. Wskutek oporu senatu amerykańskiego traktat wersalski nie został ratyfikowany przez Stany Zjednoczone, a razem z nim został pogrzebany pakt sojuszniczy francusko-ame- Francja znalazła się bez sprzymierzeńców, ale zat(z per- tyjski został wprawdzie ratyfikowany, ale nie wszedł w życie skutkiem klauzuli, uzależniającej jego moc od uprawomocnienia paktu francusko-amerykańskiego. W ten sposób Francja znalazła się bez sprzymierzeńców, ale za to z perspektywą, iż po piętnastu latach Niemcy znajdą się znów u jej granic, równie otwartych, jak w r. 1870.

Ciężki błąd, popełniony w tej sprawie przez p. Clemenceau, był główną przyczyną, dla której „ojciec zwycięstwa" przepadł przy wyborach na prezydenta republiki w styczniu r. 1920. Błąd jego okazał się, niestety, jak to z reguły dzieje się z błędami na terenie polityki międzynarodowej, nie do odrobienia. Ze strony francuskiej utrzymywano wprawdzie, że ponieważ kompromis: okupacja czasowa Nadrenji wzamian za sojusz Anglji i Ameryki z Francją — nie został wykonany, przeto Francja jest zwolniona od obowiązku przestrzegania go i może tem samem przedłużyć okupację lewego brzegu Renu aż do czasu, kiedy znajdzie gwarancję swego bezpieczeństwa równowartościową z niedoszłem przymierzem anglo-amerykańskiem. Istotnie ostatni ustęp artykułu 429 stanowi, co następuje: „Jeżeli w tym momencie (po upływie piętnastoletniego terminu okupacji) Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone będą uważały gwarancję przeciw niesprowokowanemu atakowi Niemiec za nie wystarczające, to wycofanie wojsk okupacyjnych będzie mogło ulec opóźnieniu w tej mierze, jaka będzie uznana za niezbędną dla uzyskania wymienionych (w tekście angielskim: wymaganych) gwarancyj". Istotnie, powyższy passus uznaje prawo moralne do przedłużenia okupacji w razie niedojścia do skutku gwarancyj przewidzianych w pakcie sojuszniczym pomiędzy Francją

---

drogi rozwojowe. Pod piórem jego wiąże się przeszłość z teraźniejszością, uzmysławia stan obecny w liczbach, nabiera kolorów i rumieńców życia. A oddany badaniom przejawów polskości na tych Ziemiach kresowych umie obywatelskiem uczuciem ogarnąć i pobratymcze nam ludy i narody, wspólną z nami historję tworzące.

Z jemu też tylko właściwego odczucia wartości moralnych płyną i studja nad powstaniem 63 r. I tu, gdy od rzeczy martwych—w pojęciu ogółu, a żyjących w jego ujęciu—od jezior, uroczysk i osiedli ludzkich zwróci wzrok na człowieka, to z przeszłości przykują go znowu nie znani i sławni. ale ci cisi, ci skromni bohaterowie prawie bezimienni, lecz wielcy zaparciem się siebie, oddaniem i poświęceniem, co ofiarą z przeszłości — w przyszłość zdążają. Staje się kronikarzem roku 63, wywołując z niepamięci i zapomnienia tysiące postaci i tysiące żywotów.

Od prac kapitalnych, które wypełniają i zapełniają mu życie, a które idą w kierunku statystyki narodowościowej, geografji politycznej i dziejów porozbiorowych, co chwila odrywać się musi do rzeczy drobniejszych, przyczynków, artykułów, podręczników. Zresztą walczy z niedostatkiem, pracować musi na zaspokojenie bieżących potrzeb materjalnych swoich i rodziny.

Z pomniejszych prac jego z ostatniego tylko dziesięciolecia wymienimy chociażby tylko: **„Polacy i polskość na Litwie i Rusi"** (1914), **„Białoruś w cyfrach i faktach"** (1918), **„Mapa narodowościowa Ziem Polskich"** (1919), **„Wydawnictwa lat ostatnich o powstaniu styczniowem"** (1919), **„O polskie nazwy geograficzne"** (1919), **„Rok 1863 na Kresach Mohylewskich"** (1920), **„Organizacje postyczniowe"** (1922), **„Polacy na Łotwie"** (1922), **Mapa Etnograficzna Europy** (1922) i t. p.

Z tych rzeczy wymieniona na wstępie niewielka broszurka **„Polacy i polskość na Litwie i Rusi"** była w swoim czasie rewelacją wśród pokolenia, przywykłego do rezygnacji i niewiary. Daje ona impuls dalszym badaniom, teorjom, rozważaniom, daje podstawy spekulacjom politycznym. W okresie przełomowym kształtowania praktycznych rozwiązań i programów politycznych nowej Polski nikt nie mógł tej broszurki, zapomnianej obecnie, ani w swych badaniach, ani kalkulacjach pominąć.

Pierwszą większą pracą, będącą syntezą niejako jego zamiłowań geograficznych, jest **„Podręczny Słownik Geograficzny"** opracowany łącznie z Bolesławem Olszewiczem. Jest to dzieło, stanowiące ogromną wartość dla każdego pracownika zarówno na niwie publicznej, jak naukowej. Ogromne dwa tomy łącznie o 1500 stronach Szczególną wartość tego słownika przedstawiają niezmiernie drobiazgowo podane dane o Ziemiach polskich. Najmniejsze miasteczka, a nawet wsie, mogące budzić z tych czy innych względów zainteresowanie, są tutaj uwzględnione. Przytem Ziemie polskie opracowane są w ich gra-

a W. Brytanją i Stanami Zjednoczonemi. Niestety, z punktu widzenia formalno-prawnego realizacja owego prawa Francji jest uzależniona od uznania ogółu Mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych, iż okupacja winna być przedłużona. W rzeczywistości uzyskanie takiej zgody, zwłaszcza ze strony Anglji, jest rzeczą wielce nieprawdopodobną i dlatego wspomniana klauzula artykułu 429 nie może być uważana za zabezpieczenie Francji przed koniecznością ewakuacji lewego brzegu Renu po upływie 15 lat.

Większą wartość dla Francji miał pierwszy ustęp artykułu 429, który uzależnia przewidziane w nim terminy ewakuacji od wiernego wykonania przez Niemcy warunków traktatu wersalskiego. Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Niemcy nie wykonały mnóstwa przepisów traktatowych, zwłaszcza zaś dotyczących rozbrojenia. Dlatego wszystkie rządy Francji aż do r. 1925 stały na stanowisku, iż termin 15-letni okupacji jeszcze się wogóle nie zaczął. Sytuacja Francji jeszcze się bardziej poprawiła, kiedy w początkach roku 1923 Komisja odszkodowań stwierdziła rozmyślne naruszenie przez Rzeszę zobowiązań reparacyjnych i gdy Francja i Belgja zastosowały jako sankcję tego naruszenia okupację Zagłębia Ruhry. Walka przeciw okupacji Ruhry, zorganizowana przez urząd niemiecki w formie biernego oporu ludności Zagłębia przeciw władzom okupacyjnym, zakończyła się zupełną klęską i kapitulacją Niemiec w jesieni r. 1923. Chaos finansowy i gospodarczy, w jaki Rzesza została pogrążona wskutek walki o Ruhrę, doprowadził do wzrostu prądów separatystycznych, które groziły oderwaniem Nadrenji od Niemiec. Był to punkt kulminacyjny polityki silnej ręki, stosowanej wobec Niemiec przez drugi gabinet (1922 — 1924) p. Poincare'go. Gdyby zgodnie z ówczesnym programem p. Poincare'go okupacja Ruhry — a tem samem także okupacja lewego brzegu Renu — została utrzymana aż do czasu zupełnego wypełnienia przez Niemcy zobowiązań traktatowych, w szczególności zobowiązań reparacyjnych, pokój w Europie byłby zapewniony na lat kilkadziesiąt, o ile w polityce jest cokolwiek pewnego.

Pewność ta opiera się na dwóch założeniach, z których każde posiada ten stopień oczywistości, jaki w stosunkach ludzkich jest wogóle osiągalny:

1) Pokój może uchodzić tylko wówczas za utrwalony, gdy siły broniące go mają bezwzględną przewagę nad siłami dążącemi do obalenia go.

2) Niemcy, które stanowią główny czynnik zainteresowany w przewrocie obecnego porządku europejskiego, znalazły się — wskutek okupacji lewego brzegu Renu i Zagłębia Ruhry — w stanie absolutnej niemocy w stosunku do państw zainteresowanych w utrzymaniu status quo, jak Francja i jej sprzymierzeńcy na Zachodzie i Wschodzie Europy. Wprawdzie takie zabezpieczenie pokoju było równoznaczne z przewagą Francji na kontynencie europejskim, bardzo niemile widziana przez Anglję, ale ta ostatnia była całkiem bezsilna wobec faktów dokonanych, gdyż wobec obezwładnienia Niemiec nie miała w Europie żadnego sprzymierzeńca, któryby był zdolny przeciwstawić się Francji i jej sojusznikom. Można powiedzieć bez żadnej przesady, iż wiosną roku 1924 decyzja o przyszłości Europy i pokoju europejskiego leżała wyłącznie w rękach narodu francuskiego.

Niestety, decyzja ta zapadła w dniu wyborów do izby deputowanych 11 maja 1924 przeciw polityce p. Poincare'go, wymagającej od społeczeństwa wysiłków i ofiar. Pseudopacyfistyczna polityka kartelu lewicy, idąca po linji najmniejszego oporu, odniosła zupełny triumf, którego rezultatem było zaprzepaszczenie wszystkich zdobyczy p. Poin-

---

nicach przedrozbiorowych. Znalazły tu wyraz ukochanie i zainteresowanie Maliszewskiego właśnie kresami naszemi. To też słownik ten jest kopalnią nieocenioną w tej dziedzinie, nie tylko dla Polaków, ale jednakowo i dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców.

Następną pracą, jedną z jego prac podstawowych, które za życia doczekały się wydania, jest jego: **„Bibljografja pamiętników polskich i Polski dotyczących"**. Na kilka dni przed śmiercią autora wyszła z pod prasy drukarskiej, sprawiając mu nieopisaną radość. Jest to tom o 447 stronicach, obejmujący 5445 numerów. Kto z nas przypuszczał, że tyle w Polsce i o Polsce było pamiętników! Sucha mozolna praca, wymagająca benedyktyńskiego wysiłku. Czy będzie mógł teraz któryś z historyków do tej pracy nie zajrzeć?

Ale oto w rękopisach zostały jeszcze obszerniejsze materjały do **„Bibljografji krajoznawstwa polskiego"**, które tak ukochał — i rzecz najcenniejsza, rzecz, której z niezłomną wytrwałością poświęcił od młodzieńczych niemal lat cały okres swego pracowitego żywota, materjały do **„Słownika bjograficznego powstania styczniowego"**. Z pożółkłych kart historji, ze starych roczników, notat, pism i ulotek, z kurzu archiwów, ustnych relacyj i opowiadań żmudnie odcyfrowywał, do życia powoływał i odtwarzał moralne oblicze tych, co przed półwiekiem beznadziejnie się o Polskę krwawili. 30.000 życiorysów! To powołanie do życia całej prawie armji ówczesnego Rządu Narodowego. Co za wkład w skarbnicę wiedzy narodu o sobie, w skarbnicę jego historjozofji!

Lecz na wydanie już tego, na skonkretyzowanie w formie skończonej trudu całego żywota, trudu, który pod względem moralnym stanowił najgłębszą treść jego istoty — zabrakło sił.

Kto teraz plon ten z dostałych kłosów na niwie pracy i znoju Autora wyrosłych zbierze w śpichlerze narodowej twórczości, by rzesze nakarmić?

Nie będziemy mówili obszerniej o pracy społecznej i publicznej ś. p. Maliszewskiego. Wspomnimy tylko, że podczas rokowań pokojowych w Rydze był powołany jako rzeczoznawca delegacji polskiej i przyczynił się swoją gruntowną znajomością stosunków etnograficznych na terenach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego do uzasadnienia włączenia w granice Rzeczypospolitej obecnych wschodnich powiatów województwa wileńskiego. Był współpracownikiem „Wschodu Polski" i „Przełomu". W ostatnich zaś latach brał czynny udział w pracach Instytutu Badań Spraw Narodowościowych, należał do jego założycieli i był członkiem zarządu.

Odszedł.

Z rzeczy małych, zdawałoby się szarych i powszednich, przez ich szeregowanie i sumowanie tworzył rzeczy o dużej doniosłości i wartości. Sprawom umierającym w świadomości rodaków, faktom i rzeczom szlachetnym przywracał życie i razem z niemi żyć będzie. *Marjan Świechowski*

caré'go. Gabinet Herriota uczynił latem roku 1924 krok decydujący na drodze do kapitulacji wobec Anglji, popartej przez całą międzynarodową finansjerę a zarazem przez Międzynarodówkę socjalistyczną, godząc się na opróżnienie Zagłębia Ruhry w zamian za przyjęcie planu Dawesa przez Niemcy. W roku 1925 gabinet Painlevé'go uwieńczył politykę abdykacji i rezygnacji („politykę zdechłego psa", jak ją określił obecny minister spraw wewnętrznych a dawny współpracownik pana Clemenceau, p. André Tardieu) przez podpisanie paktów locarneńskich, największego humbugu, jaki kiedykolwiek widziała historja, stosunków międzynarodowych. Wszak twórcy tych paktów przedstawiali bezkrytycznej publiczności jako początek nowej ery to, co w rzeczywistości prowadzi logicznie do nowej wojny. Ponieważ ze strony niemieckiej usiłują przedstawić rzekome gwarancje pokoju dane przez Rzeszę w Locarno jako równowartościowe, a nawet więcej warte od pierwotnych gwarancyj przewidzianych przez XIV część traktatu wersalskiego i z tego tytułu domagają się opróżnienia Nadrenji przed terminem, przewidzianym w art. 429 wspomnianego traktatu, przeto w następnym artykule rozważymy pokrótce istotną wartość paktów locarneńskich dla utrzymania pokoju.

Tadeusz Wałek-Czernecki

NA ARENIE POLITYKI ŚWIATOWEJ

RATOWANIE PAŃSTWA S. H. S.

Hegemonja serbska nie może ostać się jako strażniczka jedności państwa S. H. S... Nie jest również możliwe utrwalenie tej hegemonji przy pomocy ustroju absolutystycznego.

Zwolennicy różnych absolutyzmów, choćby zmodernizowanych, poszukiwacze jawnych czy ukrytych dyktatur radują się, że znaleźli nowe pólko doświadczalne nad Adrjatykiem. Królewski zamach stanu w Zjednoczonem Królestwie S. H. S., wytwarzając tam sytuację, która dałaby się określić właściwie jako jeszcze jedna więcej próba obalenia systemu parlamentarnego, podsuwa sugestje, że Jugosławja stała się państwem o ustroju absolutystycznym, które doświadczać będzie nadal tego systemu jako lekarstwa na wszelkie choroby parlamentarno - demokratyczne. Wszystko to zaliczyć raczej wypada do częstych w takich wypadkach sugestyj.

Dzisiejsza sytuacja w Jugosławji, po zamachu królewskim z 6-go stycznia, musi stanowić — jeśli zamach ten ma być istotnie akcją ratowniczą — etap przejściowy, jeżeli nie zgoła wstęp do aktu pierwszego... Niektórzy nazywają ją mętną, niejasną. Nie jest ona jednak mętną, przeciwnie jest sytuacją dość wyraźną, niejasną zaś jest o tyle, o ile niejasną jest przyszłość. Dotychczas bowiem od momentu zamachu niemal wszystko w dziedzinie podstawowego ustroju i porządku państwowego do tej przyszłości należy, skoro została zniesiona konstytucja, zawieszony system administracji państwowej a zastąpione przez orędzie królewskie i prawo o władzy królewskiej w państwie. Wygląda to na zwykłą proklamację monarchji absolutnej, prawnie też oba te akty zapewne takie powinny mieć przyznane znaczenie. Jednak w rzeczywistości, politycznie sprawa przedstawia się inaczej. Król Aleksander w swem orędziu, negując coprawda możność stosowania—wobec istniejącej w kraju sytuacji — dotychczasowych metod rządzenia, opierających się na systemie parlamentarnym, stanowczo stwierdza, że system ten „pozostaje jego ideałem", jednocześnie oświadcza jednak: „musimy szukać nowych metod i wytykać nowe drogi". Idea przewodnia orędzia, zdaje się, sięgać dość głęboko: w czyn ma być wcielone i utrwalone po wsze czasy, tak chwalebnie i zgodnie zapoczątkowane jeszcze we wrześniu 1918 r. oświadczeniem zagrzebskiem reprezentantów trzech narodów, poświadczone 1 grudnia tegoż roku proklamacją ich związku w jednem państwie — faktyczne zespolenie owych istotnych członów organizmu w jednolite państwo dla wspólnej budowy swych dziejów.

Czyż nie dlatego poświęcono parlamentaryzm? Wygląda to tak, jakby go poświęcono dla ratowania niepodzielności, mocy i przyszłości państwa! Poświęcono więc system, poświęcono parlament — zresztą ciężko chory — poświęcono konstytucję, jeden z najbardziej niedomagających tworów konstytucyjnych powojennych.

Brak wszelkiej kontroli nad działalnością „skupszczyny", jedynej zresztą zgodnie z tradycjami serbskiemi izby, niejasne określenie kompetencyj władz i ich funkcyj (np. władza ustawodawcza należała pospołu do króla i parlamentu) — czyniły z konstytucji dogodny przyrząd dla ekwilibrystyki i demagogji politycznej, a z parlamentu targowisko, które stawało się zbyt często terenem bójek i miejscem porachunków partyjnych (zabójstwa w czerwcu 1928).

Państwo narodowościowe, jakiem jest zjednoczone królestwo S.H.S., scementowane zostało w momencie entuzjazmu wyzwoleńczego ludów słowiańskich po wojnie pod znacznym wpływem indywidualności Pasicza, w początkach istnienia królestwa S. H. S. faktycznego jego dyktatora. Oblicze zewnętrzne grup narodowych, które weszły w skład Jugosławji, a nadewszystko ich wewnętrzna struktura, różniły się między sobą bardzo silnie. Są to rzeczy dość powszechnie znane, choć stanowczo za mało doceniane przy ocenach sytuacji politycznej królestwa S. H. S. W tych warunkach Serbowie, szczycący się swą tradycją państwową, dumni nad miarę i znani ze swych zapędów zaborczych, sięgnęli po władzę. Pomogła im ich liczebność, pomógł też do pewnego stopnia „*regime*" z okresu pasiczowskiego, utrudniały ich sytuację natomiast ich wewnętrzne skłócenie i niski poziom polityczny. A przytem to, co dla Serbów i grup wschodnich w państwie było ich tradycyjną ideą kulturalną i polityczną — ekspansja na Bałkany — nie leżało w naturalnych aspiracjach grup zachodnich. Istniały coprawda i łączniki, między innemi negatywny łącznik: zrozumienie niebezpieczeństwa włoskiego, ale napięcie jego było bardzo różne. Wytworzył się obraz walki nietylko już pomiędzy narodowościami, ale i między poszczególnemi ich grupami (partje serbskie). Reszty obrazu dopełnia wyjątkowo jaskrawa mozajka wyznaniowa, no i różnice społeczne, kulturalne, historyczne.

Takie różnorodne elementy — po części na domiar złego przeniknięte jeszcze najgorszemi tradycjami próchniejących Austro - Węgier — spotkały się w demokratycznym par-

lamentarnym gmachu nowego państwa, przybranego w akcesorja królestwa. Przetrzymało ono i tak nad wyraz wiele eksperymentów. Dwadzieścia pięć ministerstw musiało się zmienić w ciągu lat 10-ciu, krew polać się musiała na ławie wybrańców narodu, by zdecydowano się zdobyć na jakiś krok stanowczy. Szczęśliwie się stało, że w braku autorytetu innego, znalazł się król, człowiek dość energiczny i odważny, który stanął ponad interesami partykularnemi jako rzecznik interesu i obrońca jednolitości państwa. Tyle dotychczas można na jego dobro zapisać. Czy okaże się on sprawiedliwym pacyfikatorem, a zarazem zręcznym medjatorem poważnionych, prawodawcą i socjologiem?—przyszłość pokaże. Czy jednak nastąpi prędko powrót do form demokratycznych — wydaje się wątpliwem. Mimo pozornego uspokojenia trzeba pamiętać, że temperament południowy ma swoje prawa.

Trudności wyjścia z obecnej sytuacji są bardzo duże. Nie można nawet zgóry odrzucić, że sugestje, o których wspominaliśmy, nie znajdą potwierdzenia. Jednak w takim razie, to jest gdyby król Aleksander i inni twórcy zamachu wyzyskali ten moment dla utrwalenia systemu antydemokratycznego, a tem bardziej gdyby wyzyskali go dla zapewnienia w państwie hegemonji serbskiej, a na Bałkanach — imperjalizmu serbskiego, należy się obawiać poważnych konsekwencyj i komplikacyj nietylko wewnętrznego ale i międzynarodowego charakteru *). W każdym razie hegemonja serbska ostać się nie może jako strażniczka jedności państwa S. H. S. Narody współżyjące z Serbami mają głęboką z historji wyrosłą odrębną kulturę i aspiracje, których stłumić nie potrafi żadna hegemonja ani serbska, ani inna. Ale co więcej, nie wydaje się, aby było możliwem utrwalanie tej hegemonji pod postacią — czy choćby przykrywką—ustroju absolutystycznego lub dyktatury. Toć i wśród Serbów samych jest żywa i silna tradycja demokratyczna, która przecież ująwniła się, niezbyt chlubnie coprawda pod postacią osławionych walk partyjnych. Dlatego możnaby nawet zaryzykować powiedzenie, że to, co się stało, co obaliło dawny system rządów, a przyjęte zostało ze spokojem przez Chorwatów, doszukujących się w tem punktu wyjścia dla swych żądań, oczekujących więc „lepszych czasów“, nie powinno być przyjęte ze zbytnim entuzjazmem przez naród serbski, lud żołnierzy-rolników, którzy aż nadto cierpieli w przeszłości od paszów tureckich i swoich rodzimych satrapów. Z drugiej jednak strony tradycja konstytucyjno - parlamentarna trzech narodów zjednoczonych w królestwie S. H. S. nie zdołała się utrwalić tak, aby mogła stać się cementem spajającym ich jedność, której w takim razie raczej symbolem niż faktycznym piastunem i stróżem byłby król. Pozycja tradycyjno-konstytucyjnego monarchy wystarczyć może królowi belgijskiemu, będącemu symbolem jedności narodów, posiadających głęboko ugruntowaną tradycję rządów demokratycznych. Ale czy wystarczy taka pozycja naczelnikowi państwa w zjednoczonem państwie S. H. S. nawet przy tradycjach demokratycznych, zresztą odrębnych, u poszczególnych narodów, ale przy jaknajgorszej pamięci wspólnej tradycji państwa S. H. S.?

Nic łatwiejszego też dla Jugosławji, jak zapatrzeć się na temperamentem do niej zbliżone narody i stać się łącznikowem ogniwem w łańcuchu południowo - europejskich dyktatur i temu podobnych konstrukcyj. Z jednej strony bowiem narzucają się jej systemy bałkańskie, jak np.: w Rumunji—Karol i Bratianu, w Bułgarji — Ferdynand i Stambuliński, w Grecji—Konstantyn i Venizelos, z drugiej zaś strony dyktatury: italska, hiszpańska, portugalska. Różne więc horoskopy ustrojowo-polityczne snuć można dla połączonego królestwa. Wydaje się jednak, że Jugosławja będzie musiała pójść swoją drogą a to, pomijając wiele innych, choćby z tego jedynego względu, że konstrukcja narodowościowa, wyznaniowa, kulturalna jest wielce skomplikowana, a tak zasadniczo różna od konstrukcyj tych innych państw. Wydaje się też że uważając uratowanie jedności państwa S. H. S. za postulat jego wzmocnienia się i ugruntowania na drogach mocarstwowego rozwoju, ratowanie tej jedności ma widoki powodzenia wtedy, gdy Serbowie, „grający w życiu państwa jugosłowiańskiego rolę grupy dominującej“, potrafią zdobyć się na tyle zrozumienia interesu państwowego, że swej hegemonji nie narzucą z pełną bezwzględnością innym grupom narodowościowym *). Narazie — zdaje się — stanął ponad nimi król, który, coprawda postawił ich u „ołtarza“, wprowadził do rządu jako czynnik decydujący przedstawicieli wyższych sfer wojskowych, rekrutujących się z Serbów, ale jednocześnie otworzył możliwości zaspokojenia potrzeb i żądań Chorwatów i Słoweńców (zawieszenie dotychczasowego systemu i podziału administracyjno-politycznego — o co się dopominali Chorwaci — i udział w rządzie Chorwatów i Słoweńców). Dano więc w tym kierunku pewne gwarancje faktyczne.

Skoordynowanie tych faktycznych gwarancyj i ujęcie ich w formy prawne, ustrojowo - polityczne powinno być zadaniem najbliższego jutra Jugosławji.

Jedność S. H. S. jest tak trudna do uratowania, jak trudnem jest pogodzedzenie tendencyj centralistycznych serb skich z tendencjami federalistycznemi chorwacko-słoweńskiemi.

Stanisław Rudnicki.

---

*) St. Rudnicki. „Przełom“, 1927, Nr. 20.

*) St. Rudnicki „Mare nostrum i kocioł Bałkański“, „Przełom“ Nr. 20 z 1927 r.

ZJAZD DELEGATÓW ZJEDNOCZENIE PRACY WSI I MIAST W WILNIE

W niedzielę, 13 b. m., odbył się w Wilnie zjazd delegatów Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast województw wileńskiego, nowogródzkiego, białostockiego i poleskiego.

Na zjazd przybyło zgórą 100 delegatów oraz szereg posłów i senatorów z prezesem Zjednoczenia Marjanem Zyndramem-Kościałkowskim, viceprezesem Zdzisławem Lechnickim, prezesem senackiej grupy B. B. W. R. — Walerym Romanem, oraz b. ministrem Wacławem Makowskim na czele.

O godz. 12 w południe odbyła się w sali teatru Reduta uroczysta akademja poselska. Sala była wypełniona po brzegi. Obecni byli m. in. woj. Raczkiewicz, vicewoj. Kirtiklis, gen. Krok-Paszkowski i inni.

Akademję zagaił w imieniu tymczasowego zarządu wojewódzkiego Zjedn. Pracy Wsi i Miast poseł dr. Brokowski.

Przewodniczącym akademji wybrano przez aklamację p. sen. W. Romana, który w krótkim przemówieniu wyraził radość, że zjazd odbywa się w Wilnie, które tak wybitną rolę odgrywało w naszych dziejach i które dziś jest miastem, gdzie Wódz Narodu i największy budowniczy Polski wtajemniczał się w wielki czyn ducha i siły naszych mocarzy z przeszłości i tu czerpał natchnienie dla swoich prac historycznych, dla czynów buntu, czynów walki, wreszcie dla czynów wielkiej państwowo-twórczej pracy—wzmocnienia potęgi mocarstwowej Polski.

Na treść Akademji złożyły się, przemówienia posłów: Marjana Zyndram-Kościałkowskiego, Zdzisława Lechnickiego, prof. Wacława Makowskiego i dyr. inż. Wierzejskiego, którzy omówili całokształt aktualnych problemów Polski współczesnej.

Po południu odbyły się obrady merytoryczne Zjazdu Delegatów. Sprawozdanie z tego Zjazdu podamy w numerze następnym „Przełomu“.

LITERATURA — TEATR — SZTUKA

POWIEŚĆ O DUCHU WIELKIEGO POETY

...„Jest to raczej przedzgonny srebrny sen poety o sobie, niżeli realna powieść o życiu i duchowych przemianach stopniowo dojrzewającego człowieka".

...„Książka ta ma bardzo wiele i bardzo wysokich wartości. Parafrazując słowa kasprowiczowskiej „Księgi Ubogich", można o niej powiedzieć, że nie jest pisana dla ludzi leniwych i że nie pisał jej człowiek leniwy. A to już znaczy bardzo wiele..."

Krótki okres czasu, niewiele ponad jeden rok wynoszący, wystarczył, by zamknąć minioną epokę rozwoju naszej literatury. Śmierć Kasprowicza, Żeromskiego, Reymonta, Przybyszewskiego była jakgdyby ostateczną pieczęcią na przebogatej karcie twórczości grona wielu znakomitych pisarzy, którzy w ostatnich dziesięcioleciach naszej niewoli świetną plejadą imion, podobnie jak przedtem „wielcy romantycy", stworzyli widomy znak, wyznaczający drogi rozwojowe narodu, pozbawionego historji politycznej.

Jedna epoka została zamknięta — druga do dziś jeszcze nie wyszła z okresu przewartościowywania dawnych wartości, szukania nowego wyrazu zarówno w treści, jak w formie.

Literatura niepodległej Polski dotąd nie ma bodajże ani jednego dzieła, któreby było „sztandarem w sztuce", o którem musiałoby się powiedzieć, że otwiera ono epokę, że trafia na nowy ton i tem samem usprawiedliwia krytyczny stosunek do przeszłości. Najzagorzalsi, najśmielsi burzyciele starych form i sądów — poeci młodego „Skamandra" — najszybciej przeżyli swój „Sturm und Drang Periode", gorzej, zdaje się, że najszybciej przeżyli swe istotne możliwości twórcze. Jeśli dzisiaj, zrzadka, drażnią oni czem jeszcze najbardziej kołtuńskie i mieszczańskie gusta publiczności, to równocześnie gustom tym składają bogaty okup w postaci już zupełnie nie rewelatorskich i nie rewolucyjnych „central" i „hurtowni" taniego dowcipu. I szkoda, że w tym środowisku marnuje się tak wielki i szczery talent poetycki, jaki z usprawiedliwioną radością witano po pierwszych młodzieńczych jeszcze wystąpieniach autora „Karmazynowego Poematu".

Załamanie się tej pierwszej, najgorętszej fali „burzy i naporu" nie jest jednak równoznaczne z zamknięciem okresu fermentów literackich, z których może i powinna zrodzić się nowa polska literatura o znamionach istotnej wielkości. Szereg sumiennych laborantów nowej epoki — ze słusznie nagrodzonym laureatem tegorocznej nagrody państwowej, J. Kaden Bandrowskim na czele — przygotowuje się starannie do objęcia poetyckiego spadku po tych, którzy odeszli. Do pierwszego rzędu tych laborantów należy niewątpliwie autor niecodziennej książki, która nie powinna minąć niepostrzeżenie, „powieści" o Juljuszu Słowackim *). Książka ta ma bardzo wiele i bardzo wysokich wartości. Ma przedewszystkiem jedną cechę, która odrazu nakazuje poszanowanie. Parafrazując słowa kasprowiczowskiej „Księgi Ubogich", można o niej powiedzieć, iż nie jest pisana dla ludzi leniwych i że nie pisał jej człowiek leniwy. A to już znaczy bardzo dużo.

*) **Juljan Wołoszynowski: Słowacki.** Powieść. Bibljoteka autorów polskich, wydawana przez „Wydawnictwo Polskie R. Wegener" w Poznaniu. Str. 313+XV. Cena 10 złotych.

Chcąc pisać „powieść o Słowackim" — i to nie o miłostkach, które „tak jak próchno świecą", ale o dziejach duchowego rozwoju poety — i chcąc ze swego zadania wyjść zwycięsko, chcąc uniknąć groteski i karykatury, trzeba niewątpliwie samemu zrobić duży wysiłek duchowy, by dotrzeć w ten krąg zaczarowany, z którego już rozpoczyna się możność wejścia „w ligę z duchami i ze świętymi", a z którego równocześnie zatraca się plastykę ziemskich przeżyć i wydarzeń.

I tutaj zaczyna się poważne niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, którego p. Wołoszynowski nie zdołał całkowicie uniknąć. Aby przedstawić całą tę „powieść życia nieskłamaną w niczem", która doprowadziła „dziecko z czarnemi oczyma" do królewskich wyżyn duchowej potęgi, trzeba przedstawić trzy zupełnie odmienne okresy poetyckiego i ludzkiego rozwoju poety.

Inny ton, inny sposób pisania, inna plastyka i barwa słowa powinna służyć dla wyrażenia myśli i uczuć niedojrzałego, próżnego młodzieńca, posiadającego jedną tylko cechę przyszłej potęgi — dar pięknego poetyckiego wyrazu i romantyczną skłonność ubierania własnych lub wyśnionych przeżyć w tęczowe kolory. Inaczej znów myślał i myśli swe wyrażał dojrzały pisarz, świadomy zarówno swej poprzedniej małostkowości, jak obecnej artystycznej mocy. Inaczej wreszcie męczył się i palił pod ciężarem z wyższego nakazu płynących natchnień poetyckich, które mu „kości duchowe łamały", wielki kapłan poezji, przenikniięty żarliwością wyznawcy i apostoła. Na te trzy epoki swojej twórczości najpełniej, najwymowniej zwraca uwagę sam Słowacki, gdy w okresie swej dojrzałości artystycznej potępia pierwsze tomy swoich poezyj, mówiąc o nich iż są „bez duszy", a później zaś, gdy w liście do matki orzeka, iż przed Chrystusem nie śmiałby deklamować swoich poematów, nawet pochodzących z tej drugiej epoki, ale mógłby pochwalić się „Księdzem Markiem", albo „Snem srebrnym Salomei".

Otóż przedstawienie tej ogromnej ewolucji duchowej nasuwało autorowi „powieści" szereg trudności, z których niewątpliwie doskonale zdawał on sobie sprawę. Jednakże z przezwyciężenia ich nie wyszedł całkowicie zwycięsko. Wielki kapłan z ostatniej epoki życia zaciężył zbytnio nad całością książki, osłabiając w ten sposób prawdę poprzednich okresów, zaciemniając wyrazistość rysunku swoich młodzieńczych i męskich, z wcześniejszej epoki, rysów, pokrywając wszystko pewnego rodzaju mgłą, z poza której patrzą na świat zarówno źrenice dorastającego „dziecka z czarnemi oczami", jak też źrenice smutnego pielgrzyma do Ziemi Świętej, jak wreszcie rycerskie źrenice wstępującego w szranki i marzącego o achillesowych zwycięstwach autora Beniowskiego. W ten sposób całość „powieści" nosi nieco monotonny, księżycowy charakter. Jest

to raczej przedzgonny „srebrny" sen poety o sobie, niżeli realna powieść o życiu i duchowych przemianach stopniowo dojrzewającego człowieka.

Stanowi to niewątpliwie osłabienie wartości książki, a przecież poetycki realizm niektórych scen, malujących życie krzemienieckiego domu Pani Salomei, świadczy wybitnie o wielkich możliwościach plastycznego i barwnego malowania przez autora postaci nawet drugorzędnych bohaterów.

W piśmie, niepoświęconem zagadnieniom literackim, niema miejsca na przeprowadzanie szczegółowszego rozbioru scen i rozdziałów. Należy poprzestać na najogólniejszych wnioskach i do tych wniosków się śpieszyć. Otóż ten najogólniejszy wniosek polegać musi na powtórzeniu, iż literaturze polskiej przybyła książka, która, mimo pewnych braków, płynących z trudności postawionego przez autora zadania, zasługuje całkowicie na nazwę książki bardzo pięknej i bardzo wartościowej, uczącej myśleć, jak i czuć kategorjami istotnej twórczości artystycznej.

A tylko, na zakończenie, jeszcze jedna uwaga. Dlaczego do tak inteligentnej książki uznano za stosowne dodać filuterną przedmowę, która niewiele mówi i niewiele wyjaśnia, a wprowadza natomiast ton całkowicie różny i sprzeczny z zasadniczym tonem książki. To, że autor przedmowy bardzo kochał swoją babkę, która znała państwa Januszewskich, a nie znała pani Słowackiej (ściślej mówiąc raczej pani Becu) — to jeszcze nie powód, aby miał się tem interesować czytelnik, który co do samego dzieła łatwiej sam porozumie się z p. Wołoszynowskim, aniżeli za pośrednictwem autora przedmowy.

B. S.

„WŁAMANIE"
W TEATRZE POLSKIM

„Włamanie" sztuka w trzech aktach *Adama Grzymały - Siedleckiego* w *Teatrze Polskim.*

Gdy słuchało się sztuki Grzymały-Siedleckiego i w antrakcie wyszło się do palarni, by tu z kolei słuchać głosów pantoflowej krytyki, tak ważnej a tak niedocenianej przez pp. dyrektorów teatrów, dziwne myśli nachodzić musiały tego „podwójnego" słuchacza. Najostrzejsze słowa potępienia dla melodramatyczności sztuki Siedleckiego — bo „Włamanie" jest niewątpliwie melodramatem „wie es im Buche steht", by użyć słów samego autora, tak niepoprawnie wypowiedzianych ze sceny — otóż najostrzejsze słowa krytyki padały z ust tych, którzy, mirabili casu, mają mnóstwo wyrozumienia dla melodramatyczności kina, np. „Cyrku" Chaplina lub „Wschodu słońca". Jest to trochę paradoksalne, bo dlaczegóż ta sama „bebechowość", która znajduje łaskę w oczach znawców, gdy przychodzi do nas via Holywood, ma być czemś straszliwem, gdy przemawia ze sceny teatralnej? Sentymentalizm jest tu i tam tego samego gatunku. Powie ktoś: teatr ,to co innego, teatr jest „świątynią sztuki" i t. d. Zapewne, ale z tego wynikałoby, że film jest sztuką „drugiej klasy", na co z pewnością wielu kinomanów nie zgodziłoby się. Sens jednak całej tej podwójnej gry leży, zdaje się, gdzie indziej. Ostatnie czasy wygnały „bebechowość" z teatru, ale razem z tem wygnały również „czułość", o którą tak woła Słonimski. I ta „czułość" bierze sobie rewanż: dla dusz wysubtelnionych i... ulegających modzie kran czułości rozwiera się w kinie, dla mniej subtelnych i mniej liczących się z modą nie jest to niczem strasznem, gdy ten sam sentymencik, który tak dobrze znają z kina, odezwie się ze sceny. Tak czy owak, zemsta czułości na całej linji. I dlatego zapewne sztuka Grzymały-Siedleckiego będzie miała powodzenie, gdyż jest czuła jak wiersze studenckie. Protesty, krytyki i podwójne miary nic tu nie pomogą.

Tak, niewątpliwie, „Włamanie" Siedleckiego jest czułe, niemal płaczliwe. To słowo: „płaczliwe", przypomina nam, że była kiedyś epoka wielkiej płaczliwości w teatrze i że ta to epoka przygotowała — rewolucję francuską. I niepodobna zaprzeczyć, że sztuka Siedleckiego wiedzie swój rodowód z melodramatu XVIII-ego wieku, z owej „comédie larmoyante" pana Nivelle de la Chaussée i jego następców, choć zapewne autor „Włamania" nie zdaje sobie z tego sprawy. Ta sama „nieszkodliwa" problematyka społeczna — tym razem z ukłonami w kierunku proletarjatu, już nie mieszczaństwa — ta sama krytyka klasy socjalnej, z którą jest się związanym, ta sama łzawa czułość, wszystkie znamiona, które kiedyś oznaczały rozkład „sumienia" szlacheckiego. Sztukę Siedleckiego możnaby spokojnie zagrać przed publicznością robotniczą i z pewnością nie spotkałaby się ze sprzeciwem, jeśli chodzi nie tyle o jej tendencję, ile o oświetlenie świata jej bohaterów. Publiczność ta wykazałaby dużo zrozumienia zarówno nikczemności pana dyrektora banku, jak nieszczęśliwego losu dwojga proletarjuszów, córki pomywaczki i syna telegrafisty. I tu się przypomina ks. Coignard Anatola France'a z jego swoistą teorją opatrzności. Cóż za dziwny zbieg okoliczności, że właśnie Grzymała-Siedlecki, pisarz bynajmniej do tego nie predysponowany, daje pochwałę dusz proletarjackich, ubraną w najniebezpieczniejszą, bo „czułą" formę? A może to nie tylko zbieg okoliczności, może to poprostu nieświadome ugięcie się pod „ciążeniem dziejowem", mimowiedne wypowiedzenie tego, co się w duszy komu gra, przyjęcie wrogiej autorowi lecz obowiązującej świadomości społecznej. Bo czemże innem, do licha, wytłumaczyć te dygi przed proletarjatem i to wywyższenie dwojga proletarjuszy nad dobrze ubraną kokotę salonową? Chyba Siedlecki nie przeszedł do P. P. S. albo do... Pióro się wzdryga przed dokończeniem zdania.

Ale dość tych „dalekich perspektyw". Piszący te słowa nie weźmie autorowi „Włamania" za złe jego pochwały proletarjuszy, ani nawet nie będzie mu wyrzucał jego melodramatyczności, bo to traktuje raczej jako objaw społeczny, również dobry jak i niedobry w kinie jak i na scenie. Muszę jednak dodać, iż nie pragnąłbym, by tego rodzaju „płaczliwe komedje" wychowywały nowego robotnika. To dobra zabawa dla burżuazji, ale nie dla klasy, której z sentymentalizmem — nie z uczuciowością! — zupełnie nie do twarzy. Ale, że w sztuce Siedleckiego wzięła odwet pomiatana „czu-

łość", że wyrzucone drzwiami uczucie wciska się tu szparami i dlatego ulega tak przykrej „deformacji" sentymentalnej, to podkreślić należy raz jeszcze, bo w tem cały morał sztuki Siedleckiego. Sztuka to zresztą tego rodzaju, o których mówi się: „dobrze zrobiona". Zarzuty nieprawdopodobieństwa, przypadkowości i t. d., zasłyszane w palarni, nie wydają się słuszne, bo w teatrze sprawa prawdopodobieństwa, to bardzo delikatna sprawa, a gdy chodzi o przypadkowość, to wszystko jest przypadkiem, co się dzieje na scenie, sęk zaś w tem tylko, jak się tę przypadkowość ujmie i przemieni na logikę. Np. w sztuce Słonimskiego przypadkiem jest otrzymanie spadku przez Hertmańskiego, ale czy z tego wynika, że ten motyw jest niepotrzebny i zbyteczny? Błędność sztuki Siedleckiego polega na czemś bardziej zasadniczem, poprostu na tem, że jest, że została napisana. Gdy jednak nie kwestjonuje się jej istnienia, powtórzyć można tylko, że jest „dobrze zrobiona". Trudno przecież zarzucać mi — może w końcu bronić się autor — że nie napisałem drugiego „Snu srebrnego Salomei". I niepodobna odmówić mu, z jego stanowiska, pewnej racji. Gdy jednak... Ale milcz serce! jak mówi Hamlet. Nie wracajmy już do „dalekich perspektyw".

Reżyser zrobił, co do niego należało: przedstawienie szło gładko. Lecz aktorzy byli tu wszystkiem. Pani Przybyłko-Potocka raz jeszcze pokazała, że jest artystką o subtelnych środkach ekspresji i dużej kulturze, ujawnionej głównie w szczegółach pełnych niezwykłej finezji. Głuszył nieco jej subtelność Junosza-Stępowski, który jest niedoścignionym wprost mimem i tego typu aktorem chyba najpierwszym w Polsce. Maska, gest, słowo zostały przez niego sharmonizowane w tak doskonały sposób, że postać Łotyszyna stała się wprost kreacją aktorską wielkiej miary. Zachwyt na sali, brawa przy podniesionej kurtynie były nagrodą Junoszy za jego prawdziwie mistrzowską grę, godną Kamińskiego, a zarazem dawały trochę do myślenia, gdy się przypomniało sobie, że właśnie ten typ sztuki aktorskiej był tylokrotnie ostatniemi czasy skazywany przez „biegłych w piśmie" na zagładę. Bo niewątpliwie, i to jest „bebechowość", ów bezlitosny mimizm Stępowskiego. Ale nadeszły już czasy „nowej rzeczowości" — Junosza może więc spać spokojnie. Ani starej, ani nowej rzeczowości nie odkryliśmy w wykonawcy roli dyrektora banku. Dekoracje — solidne, jak przystało na gabinet bankierski w okresie ogólnej poprawy stosunków gospodarczych.

Wilam Horzyca

„ZŁOTA WOLNOSC"

Ku pokrzepieniu serc Sienkiewicz potop rycerski narodowi namalował; ku uświadomieniu roli potężnych indywidualności i praw swawolą stanowionych — Żeromski uderzył w bardon dumy o hetmanie; ku przestrodze i rozwadze — Szczucka zanurza skalpel swej myśli w przeszłość.

„Złota wolność" ideowo i uczuciowo wyłania się z „Pożogi".

Rozpętana burza wydarzeń powojennych na Rusi, gwałtowny skurcz żywiołu polskiego w tym kraju w latach rewolucji, wywołują w autorce bolesną konieczność genetycznego rozpatrzenia stosunków polsko - ruskich w perspektywie wieków. Przerażająca współczesność „griaduszczawo chama" żenie pożogą na latyfundja polskie i niszczy bez pardonu cały dorobek kultury wielkopańskiej i szlacheckiej. Widocznie pokostem tylko i fornirem osiadła się polskość na Ukrainie, skorą ją zniszczył do cna huragan bolszewizmu. Czyż nie było głębszych korzeni, wrośniętych w ziemię i lud ukraiński? A dzieło unji politycznej i religijnej, czy takie miało wydać owoce? Skąd klęska przyszła? Czy z chwilowej przegranej pod naporem zzewnątrz, czy może z wewnętrznego rozdarcia kulturalnego i społeczno-ekonomicznego?

To, co się działo na Rusi podczas rewolucji, jest rezultatem układu sił, wytworzonych przez wieki niewoli i dawnej gospodarki magnatów. Istnieje jakoweś prawo w dziejach, prawo akcji, reakcji i nawarstwienia. Przewidywanie przyszłości opiera się na logice tego prawa. Dlatego hetman Żółkiewski „inkarnator Jagiellońskiej idei braterstwa narodów" („Złota wolność" str. 258, II), dumając nad przyszłemi losami wschodniej Europy, nad dziełem unji z Moskwą, wspomniał sobie Ruś polską i „zakołysał rozpaczliwie głową, jakgdyby pragnąc odegnać wspomnienie rzeczywistości bolesnej, dręczącej" (str. 259). „By jeszcze sto lat Jagiellonowie rządzili, nie ostałby cień różnicy między Polakiem a ruskim... Cóż zaś dzisiaj?... Kraj oddany we władanie kilku satrapów, Wiśniowieckich, Ostrogskich, srogie samorządy tam wiodących. Obracają wolne ludzie w niewolniki. Ściągają Żydów-pijawki. Puszczają im w arendę podatki, czynsze, mostowe. W dwójnasób, w trójnasób wyciśnie je z biedoty Żyd. Maluczko, cóż się ostanie z dotychczasowego braterstwa, pogodnego przenikania się, łączenia w jedno?—*Nienawiść ostanie, tajna, trująca nienawiść bezsilnych, co kiedyś, kiedyś wybuchnie*" (str. 260, II t.) *). Położyć temu kres! Lecz jak to uczynić — duma hetman. Toć już stanął przy „prawie", króla nędznego od rokoszu obronił, przez „ciasne pole Kłuszyńskie" do Białokamiennej wkroczył, mir niosąc, chleb i sól Mścisławskich książąt przyjmując, kondotjerów — Sapiehę, Rożyńskiego i Lisowskiego — daleko, hen, odsunąwszy. Ale kraina „sejmami szumiąca" z królem Zygmuntem na czele w niełasce ma hetmana — w niełasce, jak przedtem kanclerza Zamoyskiego. Mniszech tam rządzi i Zebrzydowski i Gonzaga - Myszkowski i ciemna masa zdezorjentowanej, awanturniczej szlachty. I niema już stalowej woli Batorego i twardej prawicy kanclerza. Sumienie Rzeczypospolitej w piersi natchnionego księdza spoczęło: Skarga widzi odmęt przyszłości i dlatego sie hetmanowi kartelusz ze słowem pociechy — na tę chwilę, gdy Żółkiewski czytać będzie pismo królewskie, niweczące dzieło braterstwa. Spełni hetman do końca pracę przez Boga mu nakazaną, lecz fala złotej wolności ponad nim przejdzie, zatapiając wieki następne.

Czasy nowe, ludzie nowi — wady stare, jako dawniej... Ziścił się „sen o szpadzie", ucieleśnia się „sen o chlebie", podejmujemy znak Jagielloński: znak Unji i koncerza.

Ku pokrzepieniu serc Sienkiewicz potop rycerski narodowi namalował; ku uświadomieniu roli potężnych indywidualności i praw swawolą stanowionych — Żeromski uderzył w bardon dumy o hetmanie; ku przestrodze i rozwadze — Szczucka zanurza skalpel swej

*) Podkreślenie moje.

myśli w przeszłość. Polska być musi budową Żółkiewskich, Batorych i Zamoyskich, nie może załamać się na Sapiehach i Mniszchach. Prawo wielkich wodzów ducha i czynu, ogniskujących w sobie tajemne skarby psyche polskiej—siłę ma stworzyć niepożytą przez zaprzaństwo „pojedynkowych pożytków“, przez dopracowywanie się każdego obywatela do miary wodza.

Sebastjan Pielsz, główny bohater powieści, przykładem takiej pracy wewnętrznej, która się wytapia w ogniu walk, zawodów i nieszczęść. Znajduje on po długich trudach busolę - wodza, pojmuje jego zamysły i cele, staje karnie w jego ordynku wielkości. Brat młodszy Sebastjana — Piotr — wiedziony instynktem, bez namysłu idzie do obozu Chodkiewicza w Inflantach i czynny bierze udział w sprawie Kirchholmskiej. Chodkiewicz jest drugą gwiazdą na firmamencie Rzplitej ówczesnej, gwiazdą bledszą, aniżeli Żółkiewski, — w historji i w rysunku Szczuckiej. Niema między nimi zawiści; razem tworzą i razem ulegają, nie mogąc sprostać zalewowi złotej wolności.

Złota wolność rokoszem bije—bezsilą — próżnią gadulstwa — w państwo, gdy w tym czasie garstka nielicznych stawia czoło Sudermańczykowi i Tatarom na Kresach. Znamy, dobrze znamy ten obraz nietylko w literaturze; wielkie ambicje—nikłe walory ducha: Maryna Mniszchówna, królewięta.

Nie szkodzi, że autorka przed oczy nasze na nowo (po Sienkiewiczu, Żeromskim i in.) te dusze postawiła. Niedość jeszcze, niedość! Sprawiedliwa prawda dziejowa wychyla się z kart powieści, zgodnie z nakazem naczelnym autora historycznego, tylko sprawy wyznaniowe wydają się nieco jednostronnie przedstawione, co wytwarza niekiedy niepożądany stosunek czytelnika względem różnowierców. Pomimo to sylwetki niektórych arjan, szczególniej Tarnowskiego, skreślone są z całą starannością, prawie z pietyzmem. Dumania starego wodza „nurków“ w samotni domu, który ma opuścić niebawem, zostawszy bez wyznawców, przypominają żywo wizję Kopernika i żal za niedokończonem dziełem w obliczu śmierci (Żeromski: „Wiatr od morza“).

Do najpiękniejszych należą sceny „walk duszych“ bohaterów w powieści, hetmana, Sebastjana Pielsza, Chodkiewicza i innych. Nie mają one jednak siły sienkiewiczowskiej, choć są podobne do odpowiednich scen autora „Potopu“. Wogóle wpływ Sienkiewicza zaznacza się niewątpliwie w „Złotej wolności“, tak samo, jak wpływ Kraszewskiego i Żeromskiego.

I nic dziwnego, bo trudno dzisiaj dać powieść historyczną bez odczucia potęgi słowa tamtych pisarzy; ich sposobu narracji, czaru poetyckich wizyj odtwórczych, ich serca i myśli przenikliwej. Mimowoli staje przed nami Kmicic, gdy poznajemy czyn i udręki Sebastjana Pielsza; mimowoli przypominamy sobie „Starą Baśń“, gdy czytamy rozdziały o skarbie ukrytym w Pieninach; śmierć grabianki Jadwiszki Paryshazówny wśród zbójników pienińskich nasuwa myśl o tragedji Heleny de With w „Popiołach“. Nawet Żmichowska ze swą „Poganką“, która czaruje wszystkich dokoła siłą nieznaną — zjawia się w wyobraźni naszej, gdy Szczucka opowiada o dziwnej uległości zbójników i harnasiów wobec Jadwiszki, panny z zamku wielmoży węgierskiego.

Ciekawy wreszcie fakt, iż autorka za punkt oparcia dla bohatera powieści wybrała Beskid i Pieniny, które opisuje nie z mniejszą miłością, jak swego czasu nizinne, rodne ziemie Ukrainy. Zespala ona w ten sposób odległe krawędzie Rzplitej w dawnych jej granicach — swem uczuciem głębokiem i wzruszającem, staje w szeregu tych, co opiewali piękno gór polskich i ludzi górskich, z przyrodą w jedno zrośniętych. Pod tym względem spokrewnia się Kossak - Szczucka z Orkanem („Kostka Napierski“), Witkiewiczem, J. Brzostowską i Zegadłowiczem. Stąd zapewne wywodzi się, między innemi przyczynami, jej przynależność do grupy poetów beskidskich „Czartaka“.

Feliks Araszkiewicz

RECENZJE I SPRAWOZDANIA

„Sprawy Narodowościowe“ Nr. 5. Rok. II

Wyszedł nowy numer „Spraw Narodowościowych“, który zawiera: wspomnienie pośmiertne o ś. p. **Edwardzie Maliszewskim** pióra **St. Thugutta,** fachową krytykę spisu ludności w Prusach w r. 1925 z punktu widzenia mniejszości językowych — **Mieczysława Przyskiego,** **dr. Jana Stankiewicza** nader interesujący artykuł **o narzeczach języka białoruskiego,** w którym autor stwierdza, że język białoruski daje się podzielić na dwa narzecza: dysymilacyjne i niedysymilacyjne, z których pierwsze dzieli się na gwary — północną i południową, drugie — na gwary: środkową z pasmem wileńsko-oszmiańskim, południowo-zachodnią i poleską. W artykule p. t. „Wyrok Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w sprawie szkół mniejszościowych na Górnym Śląsku“ — autor (Mirolub) poddaje szczegółowej analizie orzeczenie Trybunału Haskiego z dnia 26 kwietnia 1928 r., dotyczące uprawnień mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku. Poza tem omawiany nr „Spraw Narodowościowych“ zawiera bogatą kronikę ze spraw mniejszościowych **w Polsce** (Ukraińcy, Białorusini, Niemcy, Litwini, Żydzi, Rosjanie), z zagadnień narodowościowych poza Polską (m. in. Polacy w Niemczech). Zagadnienie narodowościowe poza Z. S. S. R. Stan powszechnego szkolnictwa polskiego na Litwie w cyfrach w r. 1928/9 oraz spraw mniejszościowych na terenie międzynarodowym (51 i 52 posiedzenia Rady Ligi Narodów, IX Zgromadzenie Ligi Narodów, XXV Kongres Unji Międzyparlamentarnej). Kończą numer notatki sprawozdawcze z działalności Instytutu Badań Spraw Narodowościowych oraz recenzje. Nowy numer „Spraw Narodowościowych“, jak i poprzednie, zasługują na baczną uwagę wszystkich, którzy interesują się kwestjami narodowościowemi, tak ważnemi z punktu widzenia interesów naszego państwa i narodu.

CENA OGŁOSZEŃ:

Nadesłane (1 strona) zł.	800.—
1 strona zwykle . . „	600.—
/2 „ . . . „	320.—
1/4 „ . . . . . . „	175.—
1/8 „ . . . . . . „	90.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Swiat 21, tel. 339-94.
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie . . . . . zł.	**18.—**
Półrocznie . . . . „	**9.—**
Kwartalnie . . . . „	**4.50**

Redaktor i wydawca: *Jerzy Szurig* **Redaktor odp.:** *Jan Zimosz*

Drukarnia „KADRA“, ul. Długa 50, tel. 186-30.